Nr. 36. We Lwowie dnia 6. września 1896. Rok 4.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha

Z WIRCHÓW I HAL.

I.

W Ciemnych Smreczynach.

W Ciemnych Smreczynach rośnie krzew paproci,
Co taką siłą przyciąga z swej mroczy,
Że kto raz tylko w swem życiu go zoczy,
Już się na zawsze ku niemu zochoci.

Tu słuchać będzie, jak się kamień toczy
Po graniach, strasznych, choć je słońce złoci,
Jak puszcza wzdycha, jak od wieków kroci.
Bierze siklawa swe szumy z przeźroczy

Zaklętych stawów... A gdy los mu wzbroni
Zawitać żywym w ten zaciszny, głuchy
Schron ech przedwiecznych, gdy z tęsknoty skona,

Wówczas duch jego do Smreczyn pogoni
I, zmienion w paproć, będzie wabił duchy,
Do tajemniczych rozkoszowań łona.

II.

Na szczycie.

Na krawędzie przepaści, ponad turnic załomy,
Tu, gdzie orły jedynie tulą skrzydła znużone,
Hej! wspięliśmy się dumnie i w błękitów ogromy
Wzrok topimy zuchwały i dłoń wznosim po słońca koronę.

Dla olbrzymów te szczyty, a dla karłów poziomy!
Gardzimy płazem, co nie śmie nawet spojrzeć w tę stronę!
W ten krąg złoty wpatrzeni, w znak sił naszych widomy,
Zakochajmy się w sobie! wszak jesteśmy, jak blaski wcielone!

Tak nam duszę rozpiera tężna szczytu ponęta
Tem szaleństwem radości, że zrywamy już pęta,
Co nas łączą z brzemieniem nędz padolnych, tak wczoraj odczutem,

A od nizin, zasłanych pobitemi zbożami,
Po sinawej mgieł fali płynie powiew za nami,
Jakby echo jękliwe, i do serca się wkrada wyrzutem.

III.

Orzeł.

Królewski, dumny ptak, w majestatycznej pysze
Na turniach uwił tron, skrzesanych ręką burzy:
Stąd, w słońca lecąc szlak, w błękitach się kołysze,
Przecina niebios skłon, lub w chmurach się zanurzy.

Ziemia w pogardzie dlań, w granice zwarta ciasne!
W nieskończoności głąb na zawsze snać się rzuci...
Już traci z ócz swą grań, z ócz gniazdo traci własne,
Na ten skalisty zrąb snać nigdy już nie wróci.

Leć, duszo, za nim w ślad z uwielbień skrą w źrenicy...
Cóż to? rozpaczny ból powietrze krzykiem trwoży...
To orzeł z wyżyn spadł i wpił się w kark kozicy.

Popłynął krwawy zdrój po śniegów runi świeżej...
Ha! ten obłoków król, słonecznych pan przestworzy,
Żyje, jak zwykły zbój, i z mordu i grabieży...

Jan Kasprowicz

Panowie Wielopolscy w Krakowie.

Niektóre epizody z przeszłości tej rodziny.

(Dokończenie).

MORDERSTWO.

W dziele X. biskupa Łętowskiego pt. »Miscelanea«, wydanem r. 1866 w Krakowie przez W. Wielogłowskiego, w tomie I-szym, str. 152 w rozdziale »Pałac Wielopolskich« czytamy: »Pałac zwany Wielopolskich, stojący przy Franciszkanach w Krakowie — był niegdyś Tenczyńskich... Tu Samuel Zborowski zabił Wapowskiego, a później i sam został na Zamku ścięty. Z tego też pałacu Andrzej Tenczyński, kasztelan Wojnicki uchodząc przed wzburzonym pospolstwem — doścignięty u Franciszkanów, tam w okrutny sposób na wschodach przy zakrystji, został zamordowany, a w ślad zatem mordercy śmiercią ukarani byli. Kiedy się i jaką drogą ten pałac dostał się Wielopolskim — niewiadomo. »Pałac ten Wielopolskich zapisał sobie *facinus* szkaradne«.

»Lat temu do pięćdziesięciu z górą, żył staruszek mansionarz przy kościele Najśw. Panny Marji, i taką rzecz opowiadał. Młodym kapłanem zawołany był pod noc z wijatykiem, a powóz czekał nań pod kościołem. Wziąwszy co potrzeba, usadzony był do karety, w której siedział ktoś drugi, a że noc ciemna była, nie widzieli siebie.*) Kareta jeździła długo z nimi po mieście i za miastem, to tu, to tam, stanęła w końcu na podwórcu, przed jakimś domem wysokim. Obydwóch wprowadzono bez światła po wschodach do obszernej izby, na której leżało rozciągnione czerwone sukno. Po chwili drzwiami bocznemi wyszedł staruszek poważny, a za nim dziewica w bieli. Postawiono stołek na suknie, a staruszek rzecze: krze miły! (krze miało znaczyć księże) spowiadajcie pannę. Panna uklękła i uczyniła spowiedź, poczem przyjęła wijatyk... Teraz wasza rzecz, powie staruszek do mistrza, co stał, przywieziony z księdzem... Mistrz wyciągnął miecz z pod płaszcza i ściął pannę, a ciało zawinięto w owe czerwone sukno. Staruszek po chwili da znak, a hajduk przyniesie na tacy butelkę wina i dwa kieliszki. No! powie staruszek, po pracy dobry posiłek**) i naleje wina, kat wypił, a księdza ratowała łaska Boża, gdy od strachu (podejrzywając) wylał on trunek za obojczyk. Kareta znowu zaszła, usiedli ksiądz i mistrz i wożono ich znowu długo (księdzu znowu zawiązano oczy). Kat wysiadł pierwszy, a księdza wysadzono przed mieszkaniem jego. Gdy ochłonął nieco po strachu, a zabierał się na spoczynek, uczuł palenie po ciele; a to było owe wino wylane za obojczyk, co okropało mu piersi od brody po żywocie, (snadź i księdza chciał otruć ów poważny staruszek)!

»W lat czterdzieści dobrze, zawołany z Panem Jezusem, wszedł na dziedziniec pałacu Wielopolskich, a prowadzony po wschodach na górę, poznał, iż to był ten sam dom w którym spowiadał oną pannę ściętą. Państwa w nim nie było, jeno czeladź. Oto narata tego staruszka misjonarza«.

»Ten wypadek potwierdza drugi człowiek, dziś już nie żyjący, którego znała Polska, a zostawił po sobie imię dobre. Był to Piotr Bieliński, senator, wojewoda i prezes sądu sejmowego 1827 na politycznych naszych więźniów. Ten paniczem na naukach w Krakowie, chodził do pałacu Wielopolskich, znany dla rodziców swoich. Przyszedł był właśnie pod ten moment, i wlazł aż do tej sali czyli izby, i wszystkiego był świadkiem. Powiedziano mu tylko, iżby język trzymał za zębami. Milczał też o tem, a wspomniał dopiero, gdy mansjonarza opowiadanie rozeszło się, lecz nie nazywał staruszka ani ofiary«...

»Kto była ta kobieta stracona? — Niewiadomo, a poświadcza tylko zeznanie Piotra Bielińskiego o dokonanym tym czynie w tym domu, kędy bywał dla spokrewnionego imienia«.

Tyle biskup Łętowski, który nie wiedział co to była za jedna — ta stracona panna.

Czy to była panna Wielopolska? czy może która z fraucymeru pani Wielopolskiej?

Niestety była to panna Wielopolska.

Jeden obywatel, dziś żyjący (imienia swego nie pozwolil wymieniać), słyszał od ojca swego, który bywał w Żywcu u pani Wielopolskiej matki Pawła i Jana Wielopolskich, że razu jednego zwrócił był uwagę hrabinie Wielopolskiej, że ją zawsze widzi bardzo smutną, jakby przygnębioną, chociaż jest matką tak miłych chłopczyków — mówi wskazując na bawiących się w ogrodzie jej synków Jana i Pawła. W końcu rozmowy powiedziała hrabina: właśnie jestem smutną, bo obawiam się o los moich dzieci, gdyż na rodzie Wielopolskich ciąży wielka zbrodnia i opowiedziała powyżej przytoczone szczegóły — z niektóremi odmianami, — o ścięciu panny Wielopolskiej w Krakowie. Nic nie wiedziała o bytności księdza, i mówiła że ścięto pannę Wielopolską — nie w izbie górnej — lecz w lochu — tegoż pałacu.

Do którego z Wielopolskich ten pałac należał? W Krakowie bracia Wielopolscy oprócz tego pałacu (dziś ratusza) mieli jeszcze inny pałac, dziś hotel drezdeński i trzeci dziś własność książąt Sanguszków na Sławkowskiej ulicy i czwarty pod »Baranami« (dziś Potockich), który Wielopolscy otrzymywali w darze od księcia Sanguszki — »Kolbuszowską transakcją«. Nadto

*) Z innej wersji — że gdy ksiądz usiadł do powozu zawiązano mu oczy.

**) Z innej wersji, miał powiedzieć: na frasunek dobry trunek.

mieli Wielopolscy w Krakowie »Jurydyki« — a dziś ani piędzi ziemi tu nie posiadają — tylko smutne wyżej przytoczone wspomnienia.

Tyle tylko wiemy, że ten pałac (ratusz) na początku tego wieku należał do Andrzeja Wielopolskiego — stryja margrabiego Alexandra Wielopolskiego.

Zaiste słusznie margrabia Zygmunt Wielopolski mówi o naturalnem wzdraganiu się zajrzenia w oczy tragicznej prawdzie historycznej.

EPILOG.

*Margrabia Alexander Wielopolski.**)

W liście jego do Meternicha **) z powodu rzezi galicyjskiej 1846 r. czytamy: apostrofę — poddańczą — apostazji — samobójczej do cara moskiewskiego Mikołaja I-go.

»Przychodzimy -- pisze margrabia Aleksander Wielopolski — oddać ci się. tobie, najwspaniałomyślniejszemu z nieprzyjaciół naszych. Dotąd należeliśmy do ciebie, jako niewolnicy przez podbój i grozę i mieliśmy siebie za nic przysięgi na nas wymuszone; dziś zdobywasz sobie nowe prawo nad nami (przez co?) Łącząc odtąd nasze losy (margrabia może sobie łączyć los swój z losem Moskali — ale skądże prawo występowania w imieniu narodu?) z losami państwa twego; oddajemy ci się jako ludzie wolni, którzy mają odwagę uznać się zwyciężonymi, robimy to z własnej woli, bez chełpliwości i rachuby z serca (dowiadujemy się, że margrabia miał serce. Miał — ale dla Moskali), i z przekonania. Od dnia dzisiejszego stajesz się (to jest car moskiewski) także i dla nas, jak to już byłeś pomimo nas, naszym panem z łaski Boga, którego oddajemy się wyrokom, objawionym w przeznaczeniu narodu naszego (margrabia przemawia, jak prorok starego zakonu). Porzucamy wszystkie nasze zasoby, owe sympatje wyrachowane i zwodnicze, ową niekosztowną wymowę (a ta mowa margrabiego do Cara poddańcza czy była dla niego kosztowną), owe gwarancje i to wszystko co ludzie ubierają w szumny tytuł prawa narodów, resztki odzieży, jaką litość europejska raczyła nas odziewać, a która jednak niepokrywa ran i hańby (hańbą jest to haniebne poddanie się carowi moskiewskiemu) naszego ciała zbolałego«.

»Nie, nie wyłamujemy się z pod żadnego z praw rządzących twem państwem; żadnych warunków nie kładziemy; sam osądzisz, kiedy ci się spodoba (a jak nigdy się nie spodoba?) zwolnić surowość swych ustaw względem nas; a więc bezwzględnie poddajemy ci się. Jednę tylko wysłuchaj prośbę, prośbę pokorną, zapisaną w sercach naszych palącemi głoskami — tę prośbę jedyną«...

Jakaż to prośba — po zupełnem bezwzględnem poddaniu się?

Oto żeby się car pomścił się na — Austrji!

Czytając to, zdaje mi się, że to pisał — ktoś z domu warjatów, zwarjowawszy na najobrzydliwszym punkcie.

Jakiż koniec autora tego listu?

Agaton Giller pisze: »odepchnięty przez tych, dla których Polskę poświęcał, odarty ze swych pysznych iluzji, dostawszy rozmiękczenia mózgu, umarł w Dreznie 1847 r.

Obiegała pogłoska — że sam sobie gardło brzytwą był poderżnął.

Zważywszy to wszystko cośmy opowiedzieli — list margr. Zygmunta Wielopolskiego do »Kraju«, z którego wyjątek na wstępie przytoczyliśmy — da się łatwo zrozumieć — i te jego brutalne zniewagi przeciw tym co »nad Sekwaną«, »na Nowym Świecie«, »pod Wawelem« i w »Cuneo« — pracowali i poświęcali się dla Polski.

I niech sam czytelnik osądzi do kogo się stosuje brukowy i brutalny ten wyraz »błaznowaty« — użyty przez margr. Zygmunta Wielopolskiego w tym liście jego do »Kraju«.

Dr. M. T.

Słowacy na Węgrzech.

(Ciąg dalszy).

Poglądy reformatorskie Sztura napotkały na opozycję i wśród Słowaków i w Czechach. Prawie wszystkie pisma czeskie potępiały tendencje separatystyczne Sztura i jego stronników, oskarżając ich o ciasny prowincjonalizm. Przeciwko Szturowi agitował również i Kollar, który zewsząd gromadził zdania niezadowolonych z reformy, projektowanej przez Sztura i posyłał je do »Muzeum czeskiego« które w owych czasach było czemś w rodzaju akademji umiejętności. »Muzeum czeskie« wydało cały zbiór tych zdań pod tytułem: »Głosy o niezbędnej jedności mowy literackiej dla Czechów,

*) tak się podpisywał, i tak się podpisuje syn tego Zygmunt — ale nieprawnie, bo tytuł margrabiowski wcale nie przysłuża Wielopolskim, lecz Myszkowskim. Podpisując się margrabią powinni dodać »Myszkowski«. Wielopolscy są hrabiami na Pieskowej skale, ale tę Pieskową skałę nie odziedziczyli po Szafrańcach, lecz po prostu kupili od Zebrzydowskich. I chociaż jednym herbem pieczętują się z Szafrańcami, ale nie udowodnią spólności swego rodu z Szafrańcami, — którzy o wiele przedtem wygaśli nim się zjawili na scenie Wielopolscy — (Bochnery!) Bądź co bądź Wielopolscy nie mają prawa bez dodania — »Myszkowscy« — tytułować się margrabiami.

**) List ten do Meternicha margr. Alexander Wielopolski — miał pisać w »Krakowie«, i stąd go wysłał.

Morawian i Słowaków«. Wszystkich tych głosów było przeszło trzydzieści. Znalazło się pomiędzy niemi i zdanie Szafarzyka. Ten uznawał całą trudność zachowania jedności literackiej dwóch narodów, rozwijających się całkiem samodzielnie i żyjących w tak różnych warunkach. Szafarzyk wcale nie zaprzeczał znaczenia popularnej literatury w języku słowackim: zgadzał się i z tem że podobna literatura jest nader pożądana, ale nie powinna ona odrywać słowackiej klasy wykształconej od Czechów. Szafarzyka raziło to przedewszystkiem, że stronnicy Sztura wprowadzili specjalną, różniącą się nieco od czeskiej, pisownię.

O ile oświadczenie Szafarzyka odznaczało się umiarkowaniem, o tyle żądania Kollara były bezwględne. Twierdził on, że trzeba nie mnożyć, ale zmniejszać ilość języków słowiańskich. Kollar uważał, iż Słowaków jest tak mało, że się wcale nie opłaci zakładanie dla nich nowej literatury a namiętnie krytykował język Sztura, nazywając go kuchennym, pastuszym, grubym itp. Samego Sztura nazywał wprost zdrajcą i wrogiem narodu. W ogóle »głos« Kollara napisany jest gwałtownie i przepełniony jest niekonsekwencjami.

W r. 1846 Hurban zakłada istniejący dotychczas miesięcznik »Slowenskie Pohl'ady«. W pierwszym zaraz N. ukazała się recenzja „Głosów", w której zostały obalone wszystkie argumenty Kollara. Obronę filologicznej strony reformy wziął na siebie Sztur, wydając »Naukę języka słowackiego« Hodża w swem »Dobrem słowie dla słowaków« udowadniał, że wskutek podniesienia narzecza słowackiego do stopnia języka literackiego Słowacy nie tylko nie otaczają się murem chińskim, co im zarzucano, ale zbliżają się na polu literackiem z Polakami, Rosjanami i Ilirami, ponieważ język słowacki w daleko znaczniejszym stopniu ułatwia znajomość z innymi językami słowiańskimi, aniżeli Czesi. Hodża twierdził, że literatura czeska jest tak ubogą, iż Słowacy nic nie stracą, jeśli nie będą jej znali dokładnie.

Ostatnim pociskiem z obozu »biblistów«, jak nazywano stronników mieszaniny słowacko-czeskiej — było dziełko profesora liceum ewangielickiego w Szczawnicy, Stefana Lonnera »Słowo do swego narodu«. Nie zawierało ono jednak wcale argumentów rzeczowych. Zwolenników Sztura Lenner nazywał wprost tałałajstwem powiadając: »tałałajstwo to chce zastąpić anielską mowę świątyń tą gwarą, w której zwracacie się do waszych krów, wołów, psów i świń. Ludzie piszący po słowacku chcą naśladować cielęta, idjotów i niemowlęta. »Nieszczęsne to tałałajstwo zasługuje na to, ażeby w jego bezbożne i nieczyste usta wpuścić ogień, któryby albo spalił te brudy, zatrutego jadem pyska albo, ponieważ paskudztwo to w smrodzie i pyle swoich dziur tatrzańskich poczyna gnić, przyspieszył to gnicie i zamienił to paskudztwo w popiół«.

Jednakże nic nie skutkowało. Młode pokolenie twardo trzymało się Sztura i języka słowackiego. Wprowadzenie języka ludowego do literatury nie omieszkało wywołać skutków nader donośnych. Inteligencja już nie czuła się oddzieloną przepaścią głęboką od ludu. Następuje zbliżenie się pomiędzy inteligencją a masami ludowemi. Zakładają się różne stowarzyszenia oświaty ludowej, ukazują się biblioteki i szkoły niedzielne a nareszcie najważniejszy rezultatem przyjęcie jednego języka literackiego było zbliżenie się wzajemne katolickiego i ewangielickiego duchowieństwa.

Na polu literackiem daje się zauważyć wielkie ożywienie. Ukazuje się dużo wydawnictw: kalendarzy, broszur, wymierzonych przeciwko pijaństwu, dziełek dydaktycznych i beletrystycznych. Dwa istniejące wówczas pisma słowackie pozyskały znaczną ilość prenumeratorów. Nareszcie pojawił się istotnie utalentowany słowacki poeta narodowy — Andrzej Sladkowicz.

Sladkowicz — syn ubogiego nauczyciela wiejskiego — urodził się w r. 1820. Wstąpiwszy do liceum szczawnickiego, zapoznał się z ideami Sztura i stał się zwolennikiem samodzielnego rozwoju Słowaków. W r. 1840 Sladkowicz wstąpił na teologję w Preszburgu, a w trzy lata potem, przeniósł się do Hali. Jako student uniwersytetu tamtejszego zapoznał się z estetyką heglowską i z poezją Pruskina, co też w znacznym stopniu oddziałało na jego twórczość literacką.

Ze współczesnych Sladkowiczowi poetów na uznanie zasługują Samo Chalupka *) i Janko Kral. Oprócz tej trójcy koryfeuszów poezji słowackiej na arenę literacką wystąpił cały szereg poetów i beletrystów. Między tymi ostatnimi naczelne stanowisko zajmuje Janko Kalinczak.

Kalinczak był synem zaturczańskiego księdza protestanckiego, matka zaś jego pochodziła z dawnego szlacheckiego (zemańskiego) rodu. Kalinczak, będąc jeszcze dzieckiem odwiedzał często krewnych swej matki i przyglądał się oryginalnym zwyczajom i obyczajom dawnej szlachty słowackiej. Skończywszy filozoficzno-prawne i teologiczne kursa w Preszburgu, Kalinczak udał się na uniwersytet do Hali, kędy dążyła cała protestancka młodzież słowacka. Powróciwszy do domu Kalinczak począł pisać powieści, naśladując Michała Czajkowskiego, którego opowiadania kozackie cieszyły się ogromną popularnością wśród młodzieży słowackiej. Znajomość z poezją polską, idealizującą typy szlacheckie z czasów niepodległości Rzeczypospolitej, pobudziła Kalinczaka do kreślenia obrazów z życia szlachty słowackiej, z którem się zapoznał był jeszczcze w dzieciństwie.

Jednocześnie z Kalinczakem wystąpił na arenę literacką Józef Miłosław Hurban, autor po-

*) Chalupka brał czynny udział w powstaniu listopadowem i nawet został raniony.

wieści historycznych, z których pierwsze miejsce zajmuje »Olejkarz«, opowiadanie historyczne w duchu romantycznym. Dokoła Kalinczaka i Hurbana skupiła się grupa powieściopisarzy i nowelistów. Język ludowy zapanował ostatecznie w literaturze słowackiej, waśń Słowaków, należących do różnych wyznań, zakończyła się i literatura słowacka poczęła rozwijać się normalnie.

Jednak że wypadki polityczne końca piątego lat dziesiątka przerwały działalność kulturalną inteligencji słowackiej, a wyniki rewolucji węgierskiej i słowackiej kontrrewolucji opóźniły rozwój prawidłowy i literatury słowackiej i oświaty ludowej i świadomości narodowo politycznej mas słowackich,

W miarę tego, jak zwiększały się pretensje Madziarów, wśród innych narodowości Węgier: Chorwatów, Serbów, Rumunów i Słowaków poczęły coraz głośniej rozlegać się wyrazy protestu. Po słowacku wyszło mnóstwo broszur, dowodzących całej bezpodstawności pretensyj węgierskich i prawa innych narodowości do rozwoju samodzielnego. Jednak ani te broszury, ani kołatanie o sprawiedliwość u rządu centralnego nie przyniosło Słowakom żadnej korzyści. Cesarz przyjął bardzo łaskawie deputację słowacką, ale to posłuchanie nie miało żadnych następstw. Agitacja narodów węgierskich wciąż wzmagała się...

W organie swym »Słoweńskie narodne Nowiny«, Sztur wystąpił jako demokrata, który w szlachcicu upatruje główną przyczynę wszelkich dolegliwości narodu słowackiego. Wybrany do sejmu preszburskiego, Sztur energicznie bronił tam interesów mas ludowych, żądając zniesienia pańszczyzny, wprowadzenia do szkół języka ludowego, ograniczenia praw szlachty i t. d.

Kiedy rok 1848 przyniósł i Węgrom cały szereg reform liberalnych, prawie wszystkie niemadziarskie narodowości Węgier po podnosiły głowy. Rumuni i Serbowie poczęli otwarcie występować przeciwko supremacji Madziarów. Ruch ten opanował i Słowaków. Po całej Słowaczyźnie zgromadzają się wiece ludowe, na których tysiączne tłumy uchwalają rezolucję, żądającą obok sejmu ogólno-węgierskiego sejmów miejscowych, nastającą na potrzebę wprowadzenia języka słowackiego do szkół niższych, średnich i wyższych itd. Wiece te żądały powszechnego prawa głosowania dla wszystkich obywateli pełnoletnich, zupełnej wolności druku i zgromadzeń, zwrotu włościanom ziemi odebranej przez szlachtę, słowackich naczelników i słowackiej komendy w górno-węgierskiej gwardji narodowej.

(D. c. n..) *Leon Wasilewski.*

Na Sachalinie.

(PODSŁUCHANE PRZEZ CZTERY ŚCIANY)

(Ciąg dalszy).

Oburzenie zakotłowało w mej piersi, lecz się pohamowałam i milcząc, ze zmarszczonemi brwiami, zaczęłam krzątać się przy jego nodze. Ale gdy skończyłam opatrunek, nałożony ze zwykłą wprawą i lekkością, nie mogłam wytrzymać i powiedziałam mu surowo:

— Jakiem prawem mówicie tak lekceważąco o ludziach wam podobnych? Jesteście może gorsi od większości z nich.

Niespodziewane zdziwienie ukazało się na twarzy zbrodniarza, lecz trwało zaledwie krótką chwilkę. Potem machnął ręką niedbale, pogardliwie — i mruknął jakby do siebie:

— To samo co i na owym sławetnym sądzie. A potem bystro spojrzał na mnie, jakby coś sobie przypomniawszy i dodał z zapalczywością:

— A jednak ci zbóje, od których niby mam być gorszy, sami się dość nadziwić nie mogą, że mię pomiędzy nich wsadzono! nawet straże, żołnierze, dozorcy — ot!

Potem zapalając się widocznie coraz więcej, wykrzyknął gniewnie:

— A wam, szpitalnym babom, co do tego?! Nie wściubiajcie nosa tam, gdzie nic zrozumieć nie możecie. Babrajcie się z waszemi głupiemi lekami i obsługujcie chorych rzezimieszków!

Felczer stanął w mej obronie i począł mu grozić surową karą. Wtenczas powiedziałam mu z pozorną obojętnością:

— Ależ daj mu pan pokój. Człowiek ten przecież nie w stanie jest mię obrazić.

»Lunchysta« spojrzał na mnie zdziwiony, nie zrozumiawszy znaczenia moich słów.

Ale.. Ale! nagła radość uderza mi do serca. Wydaje mi się w tej chwili, że ów szkaradny anioł mongolski — zaczyna nieco pięknieć i szlachetnieć. Czuwam przy okrutniku tym przecież bezpłatnie. Zachowuje się on względem mnie maltretująco i ani źdźbła czegoś podobnego do wdzięczności nie wyczytałam w tych apatycznych oczach, co oglądały straszny czyn rąk, należących wspólnie z niemi do jednego ciała!... Nie bądźmy jednak pyszni! nie bądźmy nawet świadomi... swej poprawy, jak to wymaga nieubłagany pesymistyczny filozof francuski, gdyż wówczas cnota przestaje być cnotą.

X.

Wśród kilku szczególnych tych pacjentów, przy których odbywamy służbę wraz z Armerem, po koleżeńsku się krzepiąc i podtrzymując wzajemnie (jak wiele znaczy tutaj obcowanie z dobrym i wykształconym człowiekiem!) jest też

i tak niewinny na pozór, tak dziecinnie różowy, tak młodociano — smukły blondynek — najwyżej może dwudziestodwuletni. Nie pytam co uczynił, aby się ustrzedz przy nim od podobnego wstrętu, jakiego doznaję przy tych, o których wiem rzeczy ohydne.

A jednak jest to prawdopodobnie choć młoda, lecz wielka już znakomitość, sądząc z obejścia się straży więziennej przy wprowadzaniu go do nas. Jedyny, do którego zbliżam się z wielkiem współczuciem i bez żadnej domieszki wstrętu i lęku jest biedny E—n, niegdyś artysta-rzeźbiarz z zawodu, pierwsze prace którego, zaznaczone wybitnym talentem, zdołały już były zwrócić uwagę znawców i krytyków. Armer opowiedział mi historję jego, czytałam też o niej w dziennikach dwa lata temu — w Europie. Nieszczęśliwy pasjonat, szaleniec, kochający ślepo i namiętnie żonę — zdrajczynię. Pragnęli go bronić najwybitniejsi prawnicy, lecz wyrzekł się wszelkiej obrony i z oburzeniem odrzucił świadectwo psychiatrów o czasowym obłędzie, o szaleństwie i rozpaczy wobec niespodzianego, tragicznego odkrycia. Sam się domagał najsurowszego wyroku.

Doktorzy zapowiadają kryzys w tyfusie jego właśnie dzisiejszej nocy Myślę o nim i czuję się szczególnie przygnębioną tem formalnem, czczem, a zwłaszcza bezlitośnem pojęciem naszem o własnym obowiązku i o potrzebach »bliźniego«. Czyż nie byłoby właściwiej i miłosierniej z naszej strony dążyć do u ł a t w i e n i a śmierci skruszonemu męczennikowi, niż do o c a l e n i a go od niej? Powrót do zdrowia, a nawet do przytomności tylko — będzie w tym wypadku niewymownem nieszczęściem. Od czasu jak stracił świadomość — odnajduje chwilowo stracony na zawsze spokój moralny; bredzi tylko o jasnej przeszłości swojej, poprzedzającej katastrofę. Uśmiecha się szczerze pomimo wielkiego bólu głowy, od czasu do czasu zanuci lub zadeklamuje coś z niesłychaną szybkością. Najczęściej zwraca się pieszczotliwie do swojej »Mani«.

— Dziecko moje jedyne! Kobiecino moja ty śliczna!...

Choroba kładzie wprawdzie na to zmęczone czoło kamienną dłoń komandora i płonie ono i blednie okrutnie od tego dotknięcia, — ale na rozbitem sercu jego kładzie ona jednocześnie chłodne, kojące balsamy. I na tle tego dziwnego, a sprzecznego na pozór połączenia bólów ciała i wypoczynku duszy występuje wypukle natura tego człowieka — szczera, ufna i skłonna do wdzięczności za najmniejsze dobro wyświadczone.

— Maniusiu — nie zamęczaj się, błagam cię! połóż się wreszcie i spocznij. Głowa mię tylko trochę boli — nic więcej. Ból to zresztą wcale nie dotkliwy. Prześpię się tylko — i wszystko ustanie.

Probuje podnieść głowę, uśmiecha się prawie zawstydzony — z oczami pełnemi zmięszania, obawy.

— Że też wam sprawiam tyle kłopotu, tyle przykrości! Nie zwracajcie, proszę was, na mnie uwagi — tak mi będzie spokojniej i prędzej wyzdrowieję...

O, nie ulega wątpliwości, że dla niego »umrzeć — to zasnąć«, — obudzić się, — to umrzeć.

(C. d. n.) *Janina Baudouin de Courtenay.*

Ze statyki i dynamiki ludowej.

(podług obserwacji czynionych na góralszczyźnie).

(Ciąg dalszy).

Owoż wiele jest z tych precedensów, które stanowczą i dodatnią dają odpowiedź na powyższe pytanie i świetniej dokumentują solidarność i karność asocjacji góralskiej niż wielu innych ludowych.

Biorę najpierw zbójnictwo, które przez tyle wieków stanowiło heroiczną część publicznego życia góralskiego, a i dziś jeszcze wspomnieniami wibruje ciągle w tem społeczeństwie i stanowi bogaty wątek dla jego epopei i pieśni lirycznych.

O epopei nie mówię: na to wiele miejsca i czasu potrzeba. Wezmę fragmentyczne, ulotne:

Tańcowali zbójnicy.
W murowanej piwnicy,
Kazali se pieknie grać.
A na nózki pozierać.

Albo:

Ty Janicku, ty zbójnicku,
Nie buduj się przy chodnicku:
Pobuduj się kuscyk dalej,
Gdzie pajtasi przechadzali.

Albo:

Nie boję się Sąca, ani Hołomońca*)
Ani bystrej wody, bo ja chłopak młody.

Albo:

Jaworze, jaworze serokiego liścia,
Dajze Panie Boze zbójnikowi scęscia.

*) W tych dwóch i w trzecim N. Targu — oprócz grodów węgierskich, najczęściej więzili zbójników.

Popijai, popijaj,
Nowy Tarzek mijaj:
Nowy Tarzek minies, —
Nie bój się, nie zginies.

Albo:

Dyj tez pod Zawratem
Przy tym Zmarzłym Stawie
Jest koléba zbójecka,
Wyrobiona w skale.

Albo:

Powiadała matka,
Powiadali ludzie,
Ze zemnie chłopaka
Dobry zbójnik budzie.

Ale:

Janicku, Janicku,
Byłby z ciebie zbójnik,
Kiebyś ty wiedział
Przez te Tatry chodzić.

Ogromny zasób takich pieśni istnieje, ale nie mniejszy i takich, w których albo jest żartobliwa tylko wzmianka o zbójnictwie, jak ta prześliczna krzesana:

Wiwat, wiwat
Baco nas,
Dobrych chłopców
Na zbój mas,
A jesce byś lepsych miał,
Kiebyś ty im syra dał.

Albo wcale żadnej wzmianki niema, a jednak wiadomo, że jest pochodzenia zbójnickiego tj. albo dla zbójników została utworzona, albo przez nich samych, jak:

Byli tu Polacy
Sukali cubina
Ale go nie nasli
Bo było w kolébie
Pod pucierą...

Zaznaczam je dla tego, aby stwierdzić, że jak pieśni te stały się udziałem wszystkich, tak też zbójnictwo znajdowało posłuch nietylko w sferze tych, którzy czynnie wstępowali w szeregi zbójników, ale i szerokich mas ludności.

Nie tu miejsce do badania przyczyn tego zjawiska, dość chyba zaznaczyć, że zbójnictwo nie było rozbójnictwem, a miało wiele wspólnych rysów z hajductwem bałkańskiem — społecznych, politycznych, religijnych i ekonomicznych. A krom tego nie należy mniemać, aby każde zbójnictwo znajdowało posłuch u górali dla tego tylko, że jest zbójnictwem. Toć jest śpiewka:

Dyj se ten Janosik dobrze se zbojował,
Bo se dla górali pamiątkę zachował.

Natomiast podnieść wyraźniej należy tu rys jego, który bezpośredni ma związek z omawianym przedmiotem.

Istnieje w Tatrach stary obraz na szkle malowany, w wielu egzemplarzach, dawniej licznie rozpowszechnionych wszędzie w górach, a po znanem wytępieniu ich przez paru gorliwych księży, ocalałych gdzieniegdzie na Orawie, Spiżu lub Liptowie. Obraz ten (reprodukowany przez Witkiewicza) — samorodnej roboty góralskiej — przedstawia scenę w lesie, kiedy Janosik w towarzystwie swego grona zbójnickiego, przyjmuje nowego zbójnika i w tym celu dla wypróbowania jego zręczności — każe mu skakać na jodły czy świerki.

Nieboszczyk Sabała patrząc na taki obraz, zwykle opowiadał całą scenę i wskazując na oddzielne tam postacie, umiał każdego nazwać po nazwisku: To Janosik, haw Baczyński, hań Ilcyk i t. d. mimo iż przy domorodnem, niewybrednem malowaniu jeden do drugiego był podobny. Dowód to, że każdy z nich musiał się czemś właściwem sobie wyszczególnić i w ten sposób wyrył się głęboko w pamięci potomnych.

I tak też bywało w rzeczywistości. Każdy odznaczał się wysoce rozwiniętą indywidualnością. A mimo to wszyscy razem stanowili jedność niezrównaną. Karność panowała tam większa, niż w wojsku, bo rozkazów harnasia należało słuchać — i słuchano nawet wówczas gdy takowy sprzeczny był z własnem sumieniem i tą etyką, jaka przez samych zbójników była przyjęta. A solidarnością prześcigał i kahał żydowski, bo dotrzymyw li jej nawet po rozwiązaniu spółki, kiedy przestawali być zbójnikami. Wypadki złamania nawet i wówczas solidarności były tak rzadkie i wyjątkowe, że przekazywano każdy taki wyjątek pamięci potomnych w opowieściach jak np. owa pyszna opowieść Sabały o ślepym Suhym, który niedotrzymał zaprzysiężenia nietknięcia zakopanych skarbów:

»Suchy Jaś, Jędoch Cajka i Stolica z Bystrego, chadzali po zbóju wraz. I — co się nie zrobiło: Suchy zabrał te pieniądze zaprzysiężone, zakopał pod jedlicke. Juzci owcarze watre tamo-k zapalili i te pieniądze się spaliły. Naseł to jeden juhas: — pójdź z tem do zyda. Zyd kupił odymionom bryłe, zaciął, a tu śrybło jasne! Zaś Suchy, jako tej przysięgi nie dotrzymał — oslep! Toz to siedzi przed chałupom slepy, a Stolica rzece: — Siedzis, Jasiu? No to se siedź, kiej ci pieniądze milse, nizli ocy, to se siedź!«

W opinji więc góralstwa sam Pan Bóg karał złamanie solidarności góralskiej — i to nawet po rozwiązaniu towarzystwa zbójnickiege.

Wszelka inna zasada jeśli się trafiła, to była dziełem kochanek, frajerek. Dlatego Sabała powiada: »Który (zbójnik) się bab trzymał, ten nie długo zbójował«, — chyba że kobieta należała do czynnych szeregów towarzystwa zbójnickiego. Bywały i takie przykłady, ba nawet przodowały one, przewodziły, były harnasiami jak to słynna Maryna czyli t. z. Jano Cycorzysty.

Można takiej asocjacji zarzut uczynić, że nie była podejmowana dla celów pracy normalnej, że choć wśród wielu trudów i niebezpieczeństw utrzymywała się, toć jednak nie przedstawiała ciągłości pracy, a była stanem e k s c y t a c y j n y m.

Prawda, lecz oto przykład asocjacji spokoju względnego i pracy — bacostwo i juhasostwo. Cała osada wybiera zgodnie bacę, któremu powierza na lato nietylko dozór nad swojem bydłem i trzodą czyli t. z. statkiem, ale nawet dorobek z niego i w tym celu przypuszcza go do spółki. Baca za trudy dozoru i zarządu przypuszczony jest do udziału w zyskach, który tem większym jest im większym się staje dorobek. Z chwilą objęcia statku w swoją opiekę, staje się panem jego, ulegając tylko od czasu do czasu kontroli ze strony gazdów; on często wybiera sam halę i umawia się z właścicielem onej o użytkowanie. Jest to do pewnego stopnia rodzaj spółki zarobkowo-gospodarczej. Natomiast stosunek bacy do juhasów, zatrzymując cień zaledwo spółki, ma w sobie znamiona organizacji patrjarchalnej. Juhasi jako pasterze są pomocnikami i wykonawcami rozporządzeń bacy, rzadko otrzymują udział w zysku, a więcej wynagrodzenie w naturze o charakterze służebnym. Zgłaszają się oni dobrowolnie ku niemu i żyją z nim na stopniu rodzinnej zażyłości i wspólności, ale z dominującą władzą absolutną bacy. Jako członkowie rodziny muszą być solidarni i zgodni, a w zależności i pod jego bezwzględnymi rozkazami zachować karność względną. Rzadko kiedy ciągnęła tam juhasów chęć zysku lub bieda, częściej po prostu zamiłowanie w górach i tej wolności, której nie widzieli uszczuplenia w ostrej pod bacą karności:

W góry, chłopcy, w góry
Na syr, na zentyce:
Tam się napijemy,
Wypłacimy bacę.

Ta zdolność sprzęgająca jedno i drugie jest rysem znamiennym i warto go zachować w pamięci.

Wiérsycku, wiérsycku!
Ja cię tak pokochał,
Ze ja choć juz konam,
Ale na cię wołam.

W obec tej miłości nie było ofiary, którejby nie poniesiono, a karność nie była ofiarą największą.

Jaki stosunek liczebny i stopień zaabsorbowania się pasterstwem i juhasowstwem w ogóle ludności? Ilustruje to trafnie piosnka zbójnicka powtarzana na szałasach hal:

Towarzyse moi,
Kany który stoi?
Śtéry posli na zbój,
Śtéry na zające,
Śtéry pasom owce
Na zielonej łące.

Czyli, że trzecia część ludności oddaje się zbójnictwu, druga trzecia łowiectwu, a ostatnia pasterstwu. I taki też pierwotnie faktycznie był stosunek. A ponieważ łowiectwo odbywało się na pojedynkę najczęściej, więc pozatem $^2/_3$ ludności było zorganizowane w asocjacje dość karne i solidarne.

Mimo to można walor dać zarzutowi małej sfery tych organizacji: zataczały one szerokie koła terytorjalne, przesiąkały całą ludność, ale szeregowały w każdej organizacji szczupły zastęp kilku, najwyżej kilkunastu jednostek, o ekstenzywności więc asocjacyjnej nie dają dostatecznego wyobrażenia. Zgoda na to, więc dajemy wzór innej. (C. d. n.).

Wiadomości bibljograficzne.

a. Jak giną instytucje narodowe na emigracji, napisał a. I Wyższa szkoła polska w Paryżu. Paryż 1896. w 16-ce, str 77 i 1 nl.

Rembowski Aleks. Przyczynek do dziejów konstytucyjnych księstwa warszawskiego, studjum historyczno-polityczne. Kraków, 1896, w 8-ce, str. 124.

Świętochowski Aleksander. Pisma, I. Kraków, 1896 w 8-ce małej str. 220 i 1 nl.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.